

Piotr Zaccone

Tragiczna noc

Tłumaczyła z francuskiego: Marya Segeny.

— Hol Hol Miłość ta jest zanadto niespokojną, aby być czystą, jak kryształ, a skoro jest niespokojną, nie może być głęboka.

— Lubi się pan bawić w zaprzeczania — zauważył złośliwie młody lekarz.

— Nie zaprzeczam wcale wszystkim wrażeniom duszy, skoro dojrzałem jedno z nich w panu, silne i niezafarżone.

— Co pan chce przez to powiedzieć? — zapytał Frank z lekkim drżeniem w głosie.

— Chce powiedzieć, że są na świecie tajemnicze istoty, niosące w jakimś dalekim zakątku swojego umysłu wspomnienie straszne i że to wspomnienie właśnie obudza w nich zamiary nieziszczalne.

— Niech pan zechce się jaśniej wyrażać — szepnął Frank, nie mogąc ukryć zmieszania.

Ale zdawało się, że nieznajomy nie zwraca na to uwagi.

— Wie pan co? — wyrzekł nagle z widoczną intencją odwrócenia rozmowy na inny temat. — Możeby pan chciał towarzyszyć mi jutro w pewnej wycieczce.

— O co chodzi? — spytał Frank.

— Mam zamiar kupić niewielką posiadłość, niedaleko stąd. Znajduje się ona w dość ładnym położeniu, nad brzegiem rzeki. Obejrzymy ją razem.

— Nie wiem, doprawdy — wahał się Frank.

— Mam jeszcze ze sobą do pomówienia — podkreślił nieznajomy, patrząc mu bystro w oczy.

— Może dowiem się przynajmniej, kto pan jesteś — uśmiechnął się młody lekarz.

— Może.

— Niech mi pan to przyrzeknie.

— A czy pojedzie pan ze mną?

— Tak, pojedę.

— A więc do jutra! — rzekł nieznajomy, wyciągając do niego rękę.

— Do jutra! — powtórzył Frank.

Nowa osobistość.

Nazajutrz, o wczesnej godzinie, wytworny powóz, zaprzężony w dwa rosłe konie, unosił Franka i jego towarzysza w stronę bulwarów.

Frank noc tę, również jak poprzednią, spędził bezsennie na rozmyśleniach, a jednakże na twarzy jego nie widać było zmęczenia lub niepokoju. Podtrzymywała go myśl, że rozmowa, którą dziś mieć będzie z nieznajomym, będzie decydującą i wyjaśni mu wszystkie zagadki, dręczące go.

Pierwsze chwile spotkania upłynęły dosyć zimno. Frank czuł się trochę onieśmiewiony i zmieszany. Tyle pytań tłoczyło mu się do mózgu, a nie wiedział, od którego zacząć.

Im bardziej zapuszczał się na tę nieznaną sobie drogę, po której wiodła go wola nieznajomego sobie towarzysza, tem więcej odczuwał dziwny i nieprzemyślany wpływ, jaki ten człowiek wywierał na niego.

Jednakże rozum ostrzegał go, że może biernością swoją doprowadzić się do sytuacji bez wyjścia, poprzysiągł więc sobie, że postawi wszystko na ostatnią kartę i zmusi nieznajomego do zrzucenia maski, pod którą się dotąd tak zrećźnie ukrywał. A przytem w duszy jego zaszła zmiana jakaś dziwna, której pojąć nie mógł.

Od roku przeszło kochał Sylwii de Compans, miłością silną i nieobliczalną, o której nikt nie wiedział, oprócz niego samego, tak starannie umiał ją w sobie zgłuszyć.

Miłość ta była jedyną siłą jego życia, wypełnionego pracą, jedyną dźwignią, dającą mu moc wyrwania na tej ciężkiej i niewdzięcznej drodze, którą sobie obrał, jedynym celem marzeń i dążeń. I chociaż wiedział, że nie będzie ona nigdy uwieczniona realnym rezultatem, podtrzymywał ją w sobie, podtrzymując tem samem swoje własne istnienie.

A oto, od dnia poprzedniego, jakaś wielka zmiana zaszła w nim w tym kierunku.

Przekonawszy się, że Sylwia wzbudziła miłość w Oktawiuszu Gaudin i że sama mogła się sympatycznie odnosić do tego śmiesznego,

karykaturalnego człowieka, Frank uczuł się dotkniętym silnie w swojej miłości własnej i zrażonym. To nie była już ta Sylwia, o której marzył nocami całemi, widzenie cudowne jego pierwszego, młodzieńczego snu. Ideal wysniony zeszedł z wysokości, na których wyobraźnia swoją umieścił go i teraz Frank ze zdziwieniem pytał się, czy nie uległ złudzeniu.

Jednakże miłość taka, jaką Frank obdarował Sylwii de Compans, nie mogła w jednej chwili ulegć zupełnemu zniszczeniu, bo zanadto silnie związana była z najtajniejszymi zakątkami jego duszy. Uległa ona tylko przeobrażeniu i młody lekarz był jeszcze pod urokiem piękności Sylwii, ale uczucie to przybrało więcej realne formy i wyzbyło się cokolwiek idealnych osłonek, które dawniej było otoczone.

— No i cóż? — zbudził nagle Franka głos towarzysza. — Milczy pan zawzięcie, jak człowiek szczęśliwy, który lęka się szczęście to spłoszyć słowami. Czy naprawdę czuje się pan dzisiaj tak zadowolonym?

Frank otrząsnął się z zadumy i zwrócił ku nieznajomemu, który już od dłuższej chwili obserwował go bacznie.

— Szczęśliwy? — powtórzył z westchnieniem. — To zależy, jak pan to rozumie.

— Znajduje się pan przecież u szczytu swoich pragnień. Czy nie tak?

— Rzeczywiście.

— Zbliżył się pan do panny de Compans, mówił pan z nią, uratował ją pan od śmierci.

— To prawda.

— Czego pan więc żąda jeszcze?

— Wszystkiego.

Nieznajomy uśmiechnął się dziwnie.

— Wszystko, to znaczy miłość? — zapytał.

— Co znaczy sława lub majątek, jeżeli się nie jest kochanym. Pod tym względem znajduję się obecnie w tej samej sytuacji, co wczoraj.

— Nie zaprzeczam, i odtąd można twierdzić, że, nie będąc odgadywaczem cudzych tajemnic...

Tu nieznajomy zawahał się i spojrzał znacząco na Franka.

— Że Sylwia de Compans nie kocha mnie — dokończył tenże z goryczą.

— Przynajmniej nie jeszcze — dodał jego towarzysz. — Ale zresztą, cóż pan uczynił takiego, aby wzbudzić w niej to uczucie? Czy pan przypuszczał, że Sylwia od pierwszego wejścia zakocha się w panu, tak, jak się to dzieje w romansach?

— A jednak pan sam wierzy w taką możliwość?

— Dlaczegożby nie!

— Zdaje mi się, że to byłoby snem — szepnął Frank, silnie wzruszony.

— Ta młoda dziewczyna nie kocha jeszcze dotąd nikogo — wyrzekł poważnie nieznajomy.

— Dlaczego mi pan to mówi?

— Aby pan wiedział, że los dalszy leży we własnych pana rękach. A przytem, kochany doktorze, czy nie wiadomo panu, że kobiety zazwyczaj nie kochają, wyróżniają tylko.

— Gdyby chociaż to wyróżnienie padło na moją osobę.

— To zależy...

— Dając mi zawsze takie odpowiedzi — zachnął się Frank niecierpliwie — może pan zgadnąć wszystko i nigdy się nie pomylić.

— Bo pan mnie nie rozumie wcale — zauważył spokojnie nieznajomy.

— Operuje pan tajemniczym językiem czarodziejów.

— Czy sądzi pan, że trzeba być czarodziejem, aby zrozumieć kobietę?

— Tak mówią.

— Ci, co tak mówią, pochlebiają im.

— Tak pan sądzi?

— Oczywiście. Kobiety lubią pochlebstwa i na równi z królami nie znają sprawiedliwego sądu. Rozum dla nich jest bez znaczenia, a tylko wyobraźnia zajmuje wybitne miejsce.

— Gdyby Sylwia mogła sobie wyobrazić, że mnie kocha...

— Trzeba ją do tego nakłonić.

— Jakim sposobem?

— Niech pan szuka. Ale, wie pan, zdziwiony jestem bardzo sprostowaniem, że pan nie zna zupełnie tej młodej dziewczyny, pomimo, iż pan jest nią tak gorąco zajęty.

— Ja?

— Oczywiście... Niech ją pan bada, obserwuje, a przekona się pan, że bardzo łatwo nakłonić ją do miłości.

— Ale, czy ja będę mógł tego dokonać?

Kiedy znajduję się blisko niej, zmieszany jestem, tracę świadomość istnienia.

— To bardzo źle.

— Cóż więc robić?

— Postanowić coś nieodwołalnego... Niech pan zrezygnuje.

— Chyba pan żartuje!

— Nie! Wcale nie! Ta panna nie jest stosowną towarzyszką dla pana. Piękny Oktawiusz będzie dla niej stosowniejszym.

— Ależ to idyota!

— Co w tem złego?

— Jest śmieszny.

— Mniej, niż pan, bo on, chociaż nie kocha, on bierze tę sprawę rozumowo, jako dobry interes. Zresztą będzie on doskonałym mężem dla Sylwii de Compans.

— Oh! Niech pan tego nie mówi! — zawołał Frank z wybuchem rozpacz.

— Oktawiusz idealowi pana ofiarowywać będzie wspaniałe suknie i biżuterie i będzie przez nią kochany. A kiedy doda do tego powóz ze służbą w liberyi, wille i dwie garderobiane, będzie poprostu uwielbiany i czuć się będzie najszczęśliwszym człowiekiem na świecie.

— Pan jest przerażający — szepnął młody lekarz, przejęty mimo woli złośliwymi obserwacjami nieznajomego.

— Jestem człowiekiem prawdy — odparł tenże z prostotą.

— Pan chce mnie doprowadzić do rozpacz!

— Przeciwnie.

— Ale to wszystko, co mi pan mówi, odbiera mi resztki odwagi.

— Bo pan nie jest człowiekiem stanowczych decyzji.

— Biedna Sylwia! — westchnął Frank.

— Tak! Biedna Sylwia, ma pan słusność — odparł poważnie nieznajomy — ale niech pan wie, że w obecnym czasie wszystkie panny doszły do tego, że serca ich przepełnione są nie-naturalną ambicją i pragnieniem zbytków! Kto im to zapewni, będzie przez nie wybranym.

— To straszna rzecz!

— I pan chce walczyć! Walczyć bez broni i przygotowania, kiedy rywal pana stanął w szrankach uzbrojony od stóp do głowy. To szaleństwo, kochany doktorze! Przecież pan rozumie, że nieunikniona porażka czeka pana.

Frank długą chwilę milczał zamyślony. Różnorodność wrażenia osaczyła go pod wpływem słów nieznajomego. Wrodzona uczciwość jego odpychała przekonania podsuwane mu, podczas kiedy rozum podkreślał ich strony praktyczne i realne. Jednakże głęboka wspaniałomyślność jego natury buntowała się skrycie i w naleganiach nieznajomego dostrzegł zamaskowany cel jakiś.

— To, co pan mówi — odezwał się — może być słuszne po części, ale przecież nie mogę dać się przekonać powodami tej natury.

— W takim razie godzi się pan na przegraną.

— Na porażkę! Niech i tak będzie — zawołał wyzywająco Frank. — Nie tracę w niej przynajmniej honoru! Poza tem niech mi pan pozwoli wyjawic całą myśl swoją.

— Zgaduję ją, ale niech pan mówi — odparł nieznajomy, uśmiechając się lekko.

— A więc jestem przekonany, że pan chce mnie pociągnąć w jakąś intrygę, której cel nie jest mi wiadomy, w każdym razie dotyczy on tylko pana osoby.

— Hol Hol! Domysły pana przybierają bardzo realną barwę — zauważył nieznajomy.

— Pan się usuwa przed wyjaśnieniem!

— Wcale nie. Konstatuję fakt tylko. Ale nie przestanę być szczerym, bo szczerym wobec pana być można, nieprawdą?

— A więc?

— A więc... ma pan słusność!

— Przyznaje to pan?

— Dlaczegoż miałbym to ukrywać? Czy nie jestem starszym od pana przeszło o lat dwadzieścia? Poza tem wzbudził pan we mnie głębokie i prawdziwe zainteresowanie. Z tytułu więc tego prawa duchowego pozwalam sobie na wiele rzeczy wobec pana.

— Ale ten cel? Ten cel? — nalegał Frank.

— Istnieje — odparł poważnie — i musiał być bardzo ważny, bardzo potężny, aby mnie oderwać od tych cudownych krain, w których przebywałem i sprowadzić tutaj.

— I nie żałuje pan dotąd tego? — zapytał ciekawie młody lekarz.

— Oh! Ja nigdy nie żałuję niczego — odparł nieznajomy z pewnym odcieniem melancholii